

Paweł Ciesielski



Jagusia

I płaczące dziecko

(POWIEŚĆ Z DRESZCZYKIEM)

Paweł Ciesielski

JAGUSIA I PŁACZĄCE DZIECKO

Fragment

Rozdział 1:

Agnieszka obudziła się nagle z niemiłym uczuciem, że stało się coś bardzo niedobrego. W jednej chwili przeszła ze snu do jawy – tak, jakby ktoś włączył jej w głowie magiczny przełącznik. Przez kilka sekund wsłuchiwała się w szybkie bicie serca pulsujące jej w skroniach, zastanawiając się gorączkowo, co było powodem tego nagłego powrotu do świadomości. Ktoś płakał? Czy to było dziecko? „E, chyba tylko kot. A może w ogóle to był tylko sen? Jeeezu, teraz to już pewnie nie zasnę do samego rana...”, pomyślała z irytacją walczącą o prymat z niepokojem i dokładnie w tym samym momencie poczuła się tak, jakby przez jej ciało przebiegł prąd. Niezbyt mocny, jednak wystarczająco ostry, by natychmiast w pełni oprzytomniała. Poczuła się prawie dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy przechodząc na skróty przez łąkę wujka chciała przeskoczyć nad drutem elektrycznego pastucha i zawadziła o niego gołą łydką. Teraz była już pewna: to ciche, a jednak mocno przejmujące zawodzenie było równie realne, co... No, w każdym razie nad wyraz realne. I z całą pewnością to nie było

[Kup książkę](#)

miauczenie kota. Bo koty nie pochlipują, jakby połykały łzy i smarki, jakby się skarżyły, że jest im zimno, są same w ciemności i boją się tego, co wyjdzie z niedomkniętej szafy.

Poczuła jak jej ciało pokrywa się gęsią skórą. W ustach kompletnie jej wyschło, a serce waliło teraz w piersi jak oszalały ptak. „Ale jak to możliwe? – myślała gorączkowo. – Jutro wieczorem ma przyjechać Baśka, ale teraz jesteśmy w całym domu tylko we troje. Wujek, ciocia i ja na parterze, a cała góra pusta.” Agnieszka podświadomie wstrzymała oddech. Praktycznie zamarła, nasłuchując kompletnej ciemności. W jednej sekundzie płacz ustał, jakby nożem uciął i nastąpiła cisza nieomal doskonała. Podobnie jak czern spowijająca pokój, w którym spała. Przez okno z zaciągniętymi do połowy zasłonami (Agnieszka nigdy jakoś nie mogła pozbyć nawyku częściowego ich zasłaniania – a w każdym razie od strony łóżka – zanim przebrała się przed pójściem spać, nawet mimo wiedzy, że pies z kulawą nogą nie łąził drogą pod domem na samym końcu wsi) nie docierało w tym momencie żadne światło. Księżyc nie świecił na niebie spowitym niskimi chmurami, a latarnie nocne wyłączały się automatycznie zaraz do północy, by zapłonąć dopiero koło czwartej rano – oczywiście wszystko w ramach oszczędności energii elektrycznej. Dziewczyna, trochę wbrew sobie, ale jeszcze szerzej otworzyła oczy i podniosła się na łokciu. Nadal bała się głębiej odetchnąć, jednak ostrożnie pomacała na blacie szafki nocnej przylegającej do łóżka. Oprócz paczki chusteczek higienicznych i gumki do włosów spoczywał tam, tak jak każdej nocy, jej dość już przestarzały, ale, jak to mówią, wciąż jary iPhone. Agnieszka włączyła ekran nie bez pewnych oporów, choć na uruchomienie wbudowanej w telefon latarki już nie potrafiła się zdobyć. Delikatna błękitnawa poświata z tapety (z przecudnej urody ksenomorfem w całej okazałości szykującym się do skoku wprost z matrycy) wystarczyła, by mogła zacząć odróżniać otaczające ją kształty mebli. Stara, kamienna lampa stojąca na komodzie miała oczywiście przepaloną żarówkę, ale może to i lepiej? Nie wiedzieć czemu uznała, że za dużo światła też nie jest zbyt dobre w pewnych okolicznościach. Ekran wygaś po kilkudziesięciu sekundach zgodnie z ustawieniami telefonu, a Agnieszka opadła na poduszkę, przycisnąwszy aparat do mostka niczym magiczną tarczę. Ciemność znów zapanowała gęsta jak smoła, ale teraz dziewczyna nie wstrzymywała już oddechu – zaczerpnęła pełny haust ciepłego, mocno aromatycznego powietrza, które wpadało bez przeszkód przez założoną w oknie moskitierę, by po dłuższej chwili wypuścić je z głośnym westchnieniem. „Co za głupi sen!”, pomyślała z udawaną złością. „Haha, tak samo głupi ja, bez dwóch zdań. Dziewczyno, ty już jesteś w liceum, więc może ogarnij się trochę, co? Bo zachowujesz się jak siusiumajtko z gimnazjum...”

A nie, gimnazja to już historia przecież. Tak czy siak dawniej to piętnastolatki za mąż szły, a nie o głupotach myślały, jak zapewne powiedziałyby prababcia. No, w każdym razie pewnie by tak powiedziała, gdyby jej się nie zmarło ponad pół roku temu.

Drogą naturalnych skojarzeń Agnieszka ujrzała teraz oczyma wyobraźni pomarszczoną twarz swojej szanownej antenatki, dokładnie taką, jak ją zapamiętała widzianą po raz ostatni w trumnie, ale widok ten dziwnym trafem jakoś wcale nie dodał jej otuchy. Przy okazji przypomniała też sobie, że pracownicy zakładu pogrzebowego najwidoczniej nie odebrali należytego szkolenia z zakresu tanatokosmetyki lub, co bardziej prawdopodobne, zwyczajnie podeszli do swojej roboty po macoszemu, bo nie usunęli kilku rzadkich, acz grubych wijących się czarnych włosów z podbródka i lewego kącika górnej wargi nieżyjącej babuni.

„O matko, litości! Dlaczego ludzie w drugiej dekadzie XXI wieku hołdują jeszcze takim pogańskim obyczajom jak otwarta trumna na pogrzebie? Czy to nie jest chore?”

Agnieszka zacisnęła oczy, starając się ze wszystkich sił usunąć sprzed nich ten sielski, pachnący naftaliną i gerberami obrazek, jednak nie było to wcale łatwe, gdyż jak wiadomo „nocą myśli mają nieprzyjemny zwyczaj zrywania się ze smyczy...”, czy jak tam to szło. Gorzej, w pewnym momencie staruszka zawadiacko mrugnęła do niej okiem, a kąciki pomarszczonej górnej wargi z wolna zaczęły wędrować...

Nie no, dosyć tego! Czy w takich warunkach w ogóle da się spać? Pytanie z gatunku tych retorycznych. No, ale z drugiej strony, kto normalny przegląda facebooka albo słucha muzyki o... Zaraz, która to jest właściwie? No właśnie, trzydzieści osiem minut po północy.

Ta odruchowa myśl o znajomych pozostawionych w mieście, automatycznie uwolniła Agnieszkę od frasobliwo – pochówkowych wspomnień, a nawet częściowo natchnęła nową nadzieją i optymizmem. Jutro nie będę już tu spała sama – wersalka dla Baśki już wczoraj została pieczołowicie odkurzona i przesunięta vis a vis jej wielkiego starożytnego małżeńskiego łóża. Kto wie, może jeśli starsza kuzynka będzie jedną z tych niechrapiących i nierzucających się we śnie, wersalka okaże się całkiem niepotrzebna? Cóż, kiedy się ostatnim razem widziały, Agnieszka miała chyba dwanaście lat, a Baśka tyle, co ona teraz, czyli piętnaście z kawałkiem i wtedy spały razem na tapczanie Agnieszki (bo i tak nie było innej możliwości zważywszy na ówczesne warunki lokalowe jej rodziców). W każdym razie Agnieszka miała niejasne wrażenie, że kuzynka chyba coś tam trochę gadała przez sen w pewnym momencie, chociaż to było tak dawno, że głowy by za to nie dała. „No dobra, jutro się zobaczy. A właściwie już dziś. A tymczasem trzeba spać, żeby rano wstać!” Dziewczyna

odłożyła telefon na szafkę i zgarnąwszy cienką kołdrę pod samą brodę, przewróciła się na lewy bok, naturalnie pamiętając, żeby jednocześnie szczelnie opatulić stopy. Jednak już po paru sekundach wiedziała, że z postanowienia nici – po prostu nie ma takiej możliwości, żeby udało jej się ot tak, na zawołanie powrócić w objęcia Morfeusza. Przyczyna była tyleż prozaiczna, co dokuczliwa – pęcherz. Może i opróżnienie go nie było warunkiem *sine qua non* do życia w tej chwili (jeszcze nie), ale zaniechanie w tej materii komfortu nie zapewniało na pewno.

Po minucie czy dwóch dziewczyna przewróciła się zamasyście na prawy bok. „Niech to jasna cholera!” – nie minęło nawet dziesięć sekund, kiedy energicznym ruchem poderwała się do pozycji siedzącej, jednocześnie zerwawszy z siebie kołdrę. Nie zamierzając zwlekać z tym, co i tak nieuniknione, opuściła nogi na podłogę. Poczuła pod bosymi stopami twarde, lakierowane deski, ale na tyle przyjemnie chłodne, że nawet nie pomyślała o macaniu pod łóżkiem w poszukiwaniu kapci. Zresztą, kto przy zdrowych zmysłach maca pod łóżkiem prawie o pierwszej w nocy? Starając się stąpać najłżej jak to możliwe, Agnieszka rozpoczęła ostrożną wędrówkę w kierunku toalety, pomna niedawnego wykrycia małym palcem u nogi wyjątkowo nieustępliwej, również nogi (tyle że dębowej) starej, rzeźbionej szafy. Pomimo, że stawiała stopy z wdziękiem godnym baletnicy, i tak nie ustrzegła się skrzypnięcia kilku rozeschniętych desek, co było dźwiękiem, który w dość krótkim czasie stracił dla niej cały urok nobliwej starości, ale jeszcze nie zdążył stać się powodem nadmiernej irytacji. Na szczęście tym razem ominęła wszystkie przeszkody czające się w mroku pokoju i już po chwili znajdowała się w holu, stanowiącym bezpośredni łącznik ze wszystkimi najważniejszymi pomieszczeniami domu wujostwa. Toaleta stanowiła część przestronnej łazienki wyposażonej w dużą, staroświecką wannę z żeliwa oraz w miarę nowoczesnąabinę prysznicową, a podłoga, tym razem terakotowa całkiem niezłe trzeźwiła bosego użytkownika tego przybytku. Dziewczyna bez względnej zwłoki opuściła bokserki i usiadła na chłodnej desce klozetowej, a wszystko to uczyniła tym szybciej im mocniej niesforna wyobraźnia podsuwała jej niezbyt na szczęście wyraźny obraz nieznanych nauce, ale tym bardziej przez to przerażających stworzeń, które czysto teoretycznie mogłyby żerować w zatęchłych głębinach rur kanalizacyjnych. Bo jeśli nie zdązysz załatwić potrzeby wystarczająco szybko, takie stworzenie, zdolne zapewne z łatwością wyczuć ciepło, jakie wytwarzasz, bezzwłocznie rozpoczyna swą cierpliwą wędrówkę w górę rury, w kierunku – bądźmy szczerzy – twojego bezbronnego ciała. Dobra, szybkość szybkością, ale skoro już się wstało w środku nocy, lepiej

się wykręcić do ostatniej kropelki, żeby za parę godzin nie trzeba było żałować, że się tego nie zrobiło. Agnieszka o mało nie podskoczyła pod sufit, kiedy w syfonie wanny coś nagle zabulgotało. „Jezu, chyba coś naprawdę próbuje wyjść z tych przeklętych rur!” Pośpiesznie spuściła wodę i pewnie gdyby miała kowadło albo coś równie ciężkiego, z miejsca postawiłaby je na zamkniętej klapie sedesu. Mimo ciepłej nocy ogarnęła ją fala dojmującego zimna. Poczula ciarki dosłownie na całym ciele. Odwrót, odwrót! – wrzasnął wewnętrzny sierżant, a tego akurat rozkazu nie musiałby jej powtarzać nawet sam generał. „A pamiętasz taki stary kawałek pewnego niewiarygodnego duńskiego muzyka, właściwie to intro do albumu, gdzie przejmujące dźwięki pianina poprzedza upiorny akord, wzbogacony o mrozący krew w żyłach dysonans, a nagły grzmot błyskawicy stawia dęba wszystkie włosy na głowie? Nie, nie, jaki znowu demoniczny Duńczyk? Teraz?! Teraz to choćby i najbardziej kiczowate disco polo albo Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk” z wiecznie zielonym hitem „Poszła Karolinka do Gogolina” czy tam „Hej przeleciał ptaszek kalinowy lasek”. Gdyby ktoś, obojętnie kto: wujek, ciocia czy Mahatma Gandhi („Gandhi? Na rany Chrystusa!”) znalazł się na jej drodze ewakuacyjnej do sypialni, z całą pewnością umarłaby ze strachu. Padłaby trupem w jednej sekundzie. Na szczęście powrót do łóżka odbył się całkowicie bezproblemowo i już po chwili kołdra wróciła pod brodę, a Agnieszka zwinięta na lewym boku w precelek z każdym oddechem uspokajała rozkołataną serce. W miarę upływu czasu oddech dziewczyny stawał się coraz bardziej regularny, by wreszcie przejść ciche pochrapywanie.

* * *

Maleńka, szara istotka wychynęła ostrożnie z nieregularnej szpary na łączeniu kuchennych listew przypodłogowych, w rogu pomiędzy szafką zlewozmywakową a oknem. Mysz czujnie poruszyła wąsikami i nagle zamarła w bezruchu. Gdzieś w nieokreślonej głębi starego, domu cicho zapłakało dziecko.

Rozdział 2: *Nieoczekiwane skutki rutynowych zakupów*

Relaksująca kąpiel popołudniową porą

[Kup książkę](#)

Poranek wstał jasny i radosny, jak to zwykle w lipcowe poranki.

- Jagusiuuu!

Agnieszka mruknęła coś niezbyt zrozumiale i półprzytomnie przewaliła się na drugi bok.

- Jagusiu, wstań, śniadanie! – dobiegło z kuchni, ciocinym głosem, ale teraz o ton głośniej.

Tym razem dziewczyna przekręciła się na wznak i zamrugła oczami.

- Idę, ciociu! – odchrząknęła po chwili bez wielkiego entuzjazmu, lecz ta enuncjacja na razie jeszcze nie pociągnęła za sobą żadnego widocznego działania poza nieco szerszym rozwarciem powiek.

- Jagusiu, wstań, skarbie. Jajeczniczka dzisiaj jest. Pośpiesz się, bo wystygnie.

Nie było rady, śniadanie cioci Danki rzecz święta. A „jajeczniczka” święta po trzykroć. Agnieszka usiadła na łóżku i przeciągnęła się, krzywiąc twarz.

„Dżizas, czy ja się nigdy nie wyśpię? Nawet w wakacje?” No, ale nie sposób się jednak irytować na ciociną „jajecznickę”.

W drodze do kuchni zahaczyła o łazienkę, w której dokonała ekspresowej toalety (tym razem bez atrakcji rurowo – bulgotowych), by na koniec wylądować na ratanowym krześle za masywnym, dębowym stołem. Całość – z myciem zębów i wiązaniem końskiego ogona – poniżej czterech minut. Bez przebierania się, rzecz jasna.

- Cześć, ciocia – zaszczębiotała sięgając po chleb i masło. – Widzę, że jak zwykle ranny ptaszek z ciebie.

- Cześć, córcia – ciocia Danka postawiła na desce do krojenia patelnię z wyjątkowo apetycznie prezentującą się zawartością. Zaraz za nią na ceracie wylądował dzbanek z kawą zbożową na mleku. – Ano wiesz, jak to na wsi: robota po prostu nas kocha. A szczególnie latem. Zaraz ci nałożę, skarbie.

- A gdzie wujek? – dziewczyna uznała, że wypada wyrazić uprzejme zdziwienie. - Nie przyjdzie?

- A wiesz, wujek pojechał do miasta. Dzisiaj rynek i kazałam mu dokupić dwa opakowania miedzianu, bo mi zaraza paprykę zżera. No, jedz, jedz, bo zimna niedobra.

Agnieszka była pewna, że nawet letnia jajecznica w wykonaniu cioci Danki na głowę pobijałyby wszelkie jej własne dokonania na tej niwie. Jak ona to robi, swoją drogą? Niby trochę smalcu rozgrzanego na patelni, a potem tylko trzask – prask: jajko za jajkiem, raz dwa

pomiesza, w międzyczasie posoli, na koniec oprószy szczypiorkiem i *voila!* Konsystencja idealna, smak idealny, słowem: niebo w gębie. 11/10, moi kochani!

- Ciocia, nie wiem, który to raz powtarzam, ale... jesteś miszcz nad miszcze! – nadużywane słówko „petarda” od dłuższego czasu wywoływało w uszach Agnieszki alergię.

Szczupła, czterdziestodwuletnia kobieta w widoczny sposób pokraśniała z zadowolenia, a lekko zawstydzony uśmiech wyłonił kurze łapki w kącikach jej błękitnych oczu.

- Eee... nie przesadzaj, Agusiu. To tylko kilka jajek i trochę tłuszczu. Naprawdę, nie ma się czym chwalić.

Agnieszka łobuzerko zmrużyła oko i upiła łyczek gorącej „Inki”.

- Jest, jest. A ty ciocia nie bądź taka skromna.

Z uwagi na miłą i wyjątkowo sielską atmosferę lipcowego poranka przy śniadaniu nocne strachy trafiły na półkę z napisem „koszmary, kategoria ‘C’ (w czterostopniowej skali)”: nic nie było, minęło, zapomniane. No, prawie. Bo w końcu jak można zapomnieć o czymś, co w ogóle nie miało miejsca?

Po posiłku oraz umyciu naczyń, którego Agnieszka podjęła się całkowicie z własnej inicjatywy i bez jakichkolwiek oporów wewnętrznych, ciocia zaproponowała swojej ciotecznej siostrzenicy krótką wycieczkę rowerową do sklepu po mąkę i olej. Naturalnie oporów znów tradycyjnie nie było.

- Jasne, ciociu, *no problemo*. Tylko się trochę ogarnę. Daj mi piętnaście minut.

Dziewczyna postanowiła wziąć tylko krótki prysznic. Z dolnej półki komody w swojej sypialni wyłowiła ręcznik kąpielowy, a z szafy świeżą bieliznę i rzeczy do przebrania. W przelocie zgarnęła z szafki iPhona, żeby polajkować kilka najmniej głupich postów i komentarzy paru swoich koleżanek i kolegów, co zrobiła zresztą jedynie dla zasady i w ramach dobrego tonu, a właściwie tylko po to, żeby znajomi nie odnieśli wrażenia, że umarła lub że porwali ją kosmici. Natomiast w zakresie planowanego od jakiegoś czasu wakacyjnego odwyku od facebooka i insta (na szczęście lub nieszczęście wujostwo mieli dość szybki Internet i router wifi) dzienny czas logowania się na social media został dziś wykorzystany w połowie. No dobra, ewentualnie wieczorem jeszcze jakieś maks pięć minut.

Letni prysznic zakończony półminutową lodową podziałą zbawiennie i na ciało i na duszę. Parskając i zamasyżując potrząsając mokrą blond czupryną na wszystkie strony, co miało na celu strząśnięcie z niej nadmiaru wody, Agnieszka przyrzekła sobie solennie (choć w

duchu): żadnych posiłków po osiemnastej, a już szczególnie tych czekoladowych. Przed lustrem dokonała szybkiej oceny kreacji składającej się dziś z białego topu na ramiączkach i granatowych szortów (wieś wsią, ale jakoś wyglądać trzeba), następnie zawinęła włosy w ręcznik i starła z podłogi mokre ślady, które zostawiły jej stopy. Wychodząc z łazienki w przelocie zerknęła na sitkowe oko wanny, które rzecz jasna było martwe jak martwy jest każdy kawałek stalowej blachy z dziurkami.

- A ty się lepiej zamknij, suko! – wycodziła niskim głosem hollywoodzkiego *badassa*, celując palcem w otwór odpływowy, jakby to była lufa rewolweru. Sitko nawet nie mrugnęło.

Po wyjściu z łazienki Agnieszka przez chwilę rozważała, czy by nie wziąć z sobą na rower słuchawek do telefonu, ale uznała, że sześciokilometrowa – w obydwie strony - podróż na rowerze nie jest warta tego zachodu. Zdecydowanie warto było za to zająć się włosami, które zdążyły już nieco podeschnąć w ciągu tych kilku minut, które minęły od wyjścia spod prysznica. Pomimo ich dość znacznej długości – jakieś piętnaście centymetrów poniżej obojczyków - rozczesanie nie okazało się dużym problemem. Dokonane dwa tygodnie temu trzycentymetrowe podcięcie końcówek przez koleżankę, nawiasem mówiąc włosową maniaczkę, okazało się mądrym przedsięwzięciem. Fioletowa frotka na wysokości potylicy raz dwa dopełniła fryzury. I co, malujemy się? Nieeee.

- Ciocia, to ile tej mąki?

Kilka energicznych obrotów bioder i skrętoskłonów na progu kuchni, które miały dziś posłużyć za komplet ćwiczeń gimnastycznych nie uszły uwadze cioci zajętej dosuszaniem talerzy za pomocą lnianej ściereczki.

- Jaguniu! Jakaś ty wysportowana!

Dyskontowanie zachwyty nad własną skromną osobą nigdy nie należało do ulubionych czynności Agnieszki.

- Ciocia, daj spokój, zapuszczona jestem ostatnio jak dziadowski bicz. Jak mnie tak będziesz dalej skarmiać, to do reszty zrujnujesz mi linię.

- Rozpuszczona – mruknęła ciotka nie przerywając wycierania.

Dziewczyna zmarszczyła brwi.

- Słucham?

- Mówi się: „rozpuszczony jak dziadowski bicz”.

- Aha. Okej, no to jestem zapuszczona jak... - tu Agnieszka zamilkła na trzy sekundy, potrzebne na analizę dostępnych opcji. - Świński cycek? Może być?

- Co? Haha, dziecko, co ty wygadujesz? Masz piętnaście lat, a cienka jesteś jak szczypiorek. Właśnie, że podtuczyć cię muszę przez te dwa tygodnie. A ty mi tu o linii...

- Ciocia, nie szalej. Ja chuda? Wolne żarty. Jesteśmy tego samego wzrostu, a tą twoją niebieską bluzkę, którą wczoraj przymierzałam, ledwie dopięłam. Bez urazy, ale sama się powinnaś podtuczyć.

Starsza z kobiet roześmiała się serdecznie na to dictum.

- No, moja droga, akurat tym, że trudno ci się dopiąć w tym miejscu, raczej nie powinnaś się martwić.

- Że co proszę? – dziewczyna mimowolnie spłonęła rumieńcem.

- A nic – uśmiech ciotki tylko się jeszcze poszerzył. – Po prostu się cieszę, że taka śliczna siostrzenica mi ostatnio wyrosła. I jeszcze pewnie dalej wyrośnie.

Agnieszka z udawanym zniecierpliwieniem skrzyżowała ręce na piersi.

- Ciocia!

- No co?

- Nic. Mąka. No ile tej mąki ma być? Powiesz mi wreszcie?

- A, kilo wystarczy. Albo wiesz co, kup dwa. Zawsze się przyda w domu, a jeść nie woła. I jeszcze litr oleju. Jaki? A jaki bądź. Zresztą tam i tak mają tylko jeden. Aha, i kup jeszcze coś dla siebie. Co tam chcesz, jakieś lody, batoniki czy wafelki. Tu masz siatkę i pięćdziesiąt złotych.

Tym razem Agnieszka postarała się o zgorszoną minę.

- To ciocia nie wie, że cukier to biała trucizna? Że o pryszczach nie wspomnę.

- Kochanie, jakie pryszcze? Buzia gładka jak pupcia niemowlaka, cera jak brzoskwinia...

- Yhy, chyba z przeceny – mruknęła brzoskwiniowolica, śmiesznie marszcząc przy tym nos. – Dobra, ciocia, to gdzie ten twój stalowy rumak?

- Co? A, rower. No, tam... to znaczy pod wiatą, gdzie zwykle. Ale weź mój, bo w wujkowym ostatnio łańcuch ciągle spada. Chyba będzie musiał go skrócić, zresztą nie znam się. Aha, tylko uważaj tam od kapliczki, bo jak się asfalt zaczyna, to niektórzy zaczynają jeździć jak wariaci.

- Jasne, ciociu. Damy radę – dziewczyna zasalutowała niedbale i zrobiła dziarski w tył zwrot.

Na werandzie założyła białe – błękitne adidas, w zamyśleniu podrapała za uchem Ciapka, który merdając leniwie ogonem, wyszedł jej na spotkanie i na odchodnym rzuciła jeszcze okiem na swoje odbicie w półtorametrowym lustrze wiszącym przy drzwiach. No

dobra, niech będzie – zatrzymała się przy nim na całe trzydzieści sekund. „Cienka jak szczypiopek, dobre sobie”, pomyślała przyglądając się sobie krytycznie. „Okej, no brzuch na szczęście płaski jak zawsze. No i łydki – tak, z nimi raczej też wszystko w porządku. Ale uda? Nie zrobiły się przypadkiem nieco grubsze w ciągu ostatnich paru miesięcy?” W tym momencie stanęła tyłem do lustra i maksymalnie obróciła głowę. „No i te biodra! Cholera, tak być nie będzie – od jutra przynajmniej trzydzieści kilometrów dziennie na rowerze i zero czekoladek!”

Rower cioci to jednak nie był demon szos, ani tym bardziej jej własna dwudziestojenobiegowa, góraska bestia pokryta czarnym lakierem, z chromowanymi klamkami manetkami i takimiż widelcami. Jeśli już, to raczej różowy kucyk nie pierwszej młodości, z obciachowym koszykiem z przodu. No, ale jednak zawsze jakiś pojazd. A pojazdy – te prawdziwe, z wielkimi silnikami i bakami w kształcie mrocznego serca – to było coś, o czym Agnieszka zawsze marzyła w skrytości ducha. Ach, osiąść kiedyś takiego prawdziwego stalowego rumaka, stylowego choppera z dwulitrowym silnikiem i obłądnie dłuugim przednim zawieszeniem – to by dopiero było coś! Wszystkie jej plastikowe, Barbiopodobne koleżanki z długimi pazurami we wszystkich kolorach tęczy i buziami w ciup w jednej chwili popękałyby z zazdrości. A co tam koleżanki – wszystkie te żelko-grzywkowe lalusie w rurkach przydepnęłyby sobie kopary, kiedy ona, niczym kobieta – Wiking na smoku, w skórzanych spodniach, kamizelce i kowbojkach z wielkim czubem maksymalnie dodałaby gazu i z rykiem silnika pozostawiłaby ich oszołomionych gdzieś na poboczu, spowitych kłębamii dymu.

Póki co jednak pozostało jej tylko odbić się od kępy świeżo skoszonej trawy i popedałować w kierunku bramy, a potem dalej, wysypaną żwirem drogą w ciszy i absolutnym spokoju letniego przedpołudnia. „Ach, co tam, przynajmniej tłuszczyku trochę wytopię” – uznała z wrodzonym optymizmem. „No i, co nie mniej ważne, słoneczka trochę przy okazji po drodze złapię”. Na szczęście jeszcze przed końcem roku szkolnego pogoda dopisywała na tyle, że parę razy zdążyła się wybrać podczas weekendu na odkrytą pływalnię i głównie dzięki temu nie wyglądał teraz jak córka młynarza. „Cera brzoskwiniowa, hę? No dobra, niech będzie i morelowa, zawsze to lepsze niż czerwona jak spieczony rak, hahaha. W każdym razie i tak trzeba zapamiętać, żeby po powrocie do domu nie żałować kremu z filtrem, a przynajmniej na ramiona i nogi, bo jeszcze nie ma dziesiątej, a już przygrzewa aż miło”.

Ale póki co było jeszcze całkiem przyjemnie i Agnieszka tym bardziej nie zamierzała się śpieszyć, wręcz przeciwnie – postanowiła się jak najdłużej rozkoszować sielskością otoczenia i czystością wiejskiego powietrza. Droga nie była najgorsza, nawet ten odcinek przed asfaltem, krajobraz panował tu zdecydowanie płaski, więc jechało się bez specjalnego wysiłku. Wieś cioci i wujka nie należała do zbyt ludnych, nawet jak na sioło – pierwsze domy, pojedyncze i skupiska, zaczynały się mniej więcej pół kilometra od ich włości i dalej rozsiane były w nierównomiernych odstępach wzdłuż prawego brzegu drogi. Po lewej aż do ciemnej linii lasu rozciągały się jedynie złote obecnie pola i żywo zielone łąki. A poza tym od czasu do czasu: tu jakieś brzoźki, tam wierzby i krzak leszczyny, dzikiej róży albo czarnego bzu; tak naprawdę niby nic ciekawego, ale i tak przynajmniej + 60 do uroczej uroczosci. O, i jeszcze koncert skowronka centralnie nad zagonem żyta (czy tam pszenicy) – kolejne + 10. Dopiero od kapliczki, gdzie zaczynał się całkiem nowy asfalt, zabudowania zaczynały się zagęszczać, w większości sąsiadując z sobą płot w płot. Na skrzyżowaniu trzeba było skręcić w prawo, przejechać jakieś trzysta metrów obok remizy i kościoła, a potem szutrową dróżką lekko w dół do sklepu wielobranżowego pani Jadzi, zajmującego cały dół starego spichlerza. Do sklepu przylegał od frontu całkiem spory ogródek, jednak nie było żadną tajemnicą, że jego przeznaczenie dalekie było od uprawnego. Kilka rozrzuconych na zielonej trawce ławko-stolików z nieheblowanej sośniny, pomiędzy rzadkimi kępami brzoź stanowić miało zapewne doskonałe uzupełnienie części usługowej sklepu, w imię złotej zasady handlu: „Nasz klient nasz pan”. O tej porze dnia koneserzy piwka oraz „małpek” nie byli zwykle liczni i tak było także dziś. Za to jeden stolik okupowali trzej młodzieńcy, z których najchudszy, popijający leniwie colę, na oko rówieśnik Agnieszki wyszczerzył się na jej widok w piegopatym uśmiechu.

- E, laska! – zapiął ni z gruchy ni z pietruchy, jednocześnie przyjmując półleżącą pozę wyluzowanego na maksa hiphopowca. „Taa... hiphopowiec za dychę – oceniła w duchu jego patykowate nogi. Po czym zweryfikowała swój osąd nie bez pewnej dozy okrucieństwa. – E, skąd! Co najwyżej za trzy pięćdziesiąt”. Na zewnątrz zaś zdobyła się jedynie mroczny grymas „politowania numer trzy”. „Niech się cieszy, że nie cztery, Casanova barów mlecznych”. Rzecz jasna na jednym „E, laska” skończyć się nie mogło, ale Agnieszka nie zamierzała dawać się prowokować jakimś wsiowym knypkom, choć ten bełkot przez dobrą chwilę aż się prosił o pokazanie palca. W każdym razie, umieszczając rower w prowadnicach dość mocno zardzewiałego stojaka, nie raczyła już nawet odwrócić głowy w stronę swoich

niedorobionych podrywaczy i uznała, że dziesięć metrów to dystans wystarczający, by nie zaprzętać sobie myśli czymś równie błahym.

Obok otwartych drzwi sklepu stała rozchwierutana ławeczka.

- Jako ładno dziewczyno! – pan siedzący na niej miał tak na oko sześćdziesiąt – siedemdziesiąt lat i wszystkiego cztery zęby, przynajmniej przy tej szerokości rozwarcia paszczy. Poza tym konsumował piwo z butelki.

„Jeszcze jeden... Ludzie, litości!”

- Tak, tak, i pan też – odparowała bez namysłu.

Na szczęście przynajmniej w środku nie było nikogo. No, może poza gigantycznym rudym kotem rozwalonym beczelnie na środku lady.

- Ej, młody, może byś się tak trochę posunął, co? – dziewczyna bez namysłu zaczęła go czochrać za uszami i pod brodą. Odpowiedzią było mruczenie o poziomie głośności niewiele ustępującym niewielkiemu traktorkowi.

- Dzień dobry – z zaplecza wyłoniła się niska, rumiana kobieta, z dużą dozą prawdopodobieństwa właścicielka sklepu.

- Dzień dobry – Agnieszka przywołała na twarz miły uśmiech. Nawiasem mówiąc, kiedy się uśmiechała w jej policzkach pojawiały się dwa małe dołeczki. Podobno urocze. – Poproszę olej i dwa kilo mąki.

- Tortowej czy Szymanowskiej?

Na takie uszczegółowienie dziewczyna nie była gotowa.

- Eee... No, zwyczajnej.

- Szymanowska droższa o czterdzieści groszy.

- To niech będzie Szymanowska.

Sprzedawczyni sprawnie wydała resztę i zagaiła.

- A panienka u nas przejazdem czy w gościach?

„No tak, urok małych wiejskich sklepików”.

- Ja? To znaczy przyjechałam na wakacje. Do cioci. I wujka. Krawczyków.

- Aaa, pani Danusia! Mama... Basi. To pamiętam, jak pani jeszcze była taka malutka – dłoń pani Jadzi zawisała na sekundę jakieś dziesięć centymetrów nad ladą. – A teraz? Proszę, jaka panna wyrosła!

Czerwieniąc się po raz drugi w krótkim odstępie czasu, Agnieszka uznała, że padła dziś ofiarą jakiegoś dobrze skoordynowanego spisku.

- Haha, nie. Ech, jaka tam ze mnie panna. To znaczy panna oczywiście, ale... po prostu Agnieszka.

- Oczywiście, Agnieszka. Jak ten czas szybko leci. To co, już po szkole?

- Tak. W sensie: mam teraz wakacje. Ale tak w ogóle to jeszcze się uczę, rzecz jasna. A właściwie dopiero pierwsza liceum.

- Ach, liceum! To tak jak mój najstarszy wnuczek. Ale on już w maturalnej teraz będzie.

Agnieszka bez najmniejszego trudu przywołała na twarz wyraz typu „grzeczna uczennica”.

- Aha, w maturalnej już? – zainteresowała się uprzejmie, choć w rzeczywistości miała to głęboko w nosie.

- Tak, tak. Właśnie przyjechał wreszcie do babci na wakacje, na trochę. No, ale z niego to już kawaler pełną gębą.

- No, na pewno – dziewczyna w zakłopotaniu zajęła się głaskaniem kota po miękkim, jasnorudym brzuchu, który zaprezentował w pełnej krasie, tym razem uwalając się na boku.

– No cóż, to już będę...

Pani Jadzia jakby zupełnie tego nie dosłyszała, ale za to nagle dostrzegła źródło pełnego rozkoszy mruczenia.

- Józek, a ty co tu robisz? A poszedł na dwór myszy łapać – ofuknęła futrzaka, który oczywiście nie raczył nawet odwrócić wielkiego łba w stronę swojej pani. – A mojego wnusia to nie widziała Agnieszka po drodze? On tam w ogródku z kuzynem i kolegą powinien być. Chłopakom się nudzi, bo tu na wsi za bardzo atrakcji nie ma.

„Nie wątpię”, pomyślała zapytana z przekąsem. „No to mamy zidentyfikowaną tożsamość Casanovy z baru mlecznego ‘Muszelka’. Zaiste, kawaler jak się patrzy”.

- Zdaje się, że tak. Nie mieliśmy niestety okazji pogawędzić, ale z pewnością wnuk jest bardzo zdolny – ta zakamuflowana kpina pewnie nie była potrzebna, ale Agnieszka jakoś nie potrafiła się powstrzymać. Jednak bardzo szybko miała pożałować tej swojej drobnej złośliwości.

- Ale to żaden problem! – babcia była najwyraźniej wniebowzięta. – Zaraz go tu zawołam.

Dziewczyna uśmiechnęła się bez przekonania.

- Wie pani, sądzę, że powinnam już... Ciocia na pewno czeka na mnie...

Równie dobrze można by pewnie spróbować namówić kota, żeby zaczął szczekać.

Pani Jadzia tylko wychyliła się zza lady w kierunku otwartych na oścież drzwi.

- Szyyyymeeek! Szyyyymuuś!

Agnieszka szybko zgarnęła z lady siatkę z zakupami.

- Ja naprawdę...

- Słucham, babciu.

Dziewczyna mimowolnie odwróciła głowę w stronę okazałej wielkości cienia, który wypełnił jasny prostokąt wejścia. Zaraz, ale to wcale nie zabrzmiało jak kogucio – baranie „E, laska”. Wręcz przeciwnie, głos był raczej niski i całkiem przyjemny w odsłuchu. Zresztą, chłopak, który był jego właścicielem również. To znaczy wizualnie. Na oko dobrze ponad metr osiemdziesiąt, szczupły, ale nie chudy... No, no... Koleżanki pewnie powiedziałyby „ciacho”, ale podobne określenia nie należały do repertuaru Agnieszki. „Nawet mało nieprzyjemny w odbiorze”, pomyślała trochę zaskoczona. „Przynajmniej póki co.”

Za to babcia „ciacha” po prostu promieniała.

- Chodź no tu, Szymuś. Zobacz, jaką ci koleżankę ładną znalazłam. I też do liceum chodzi. A może się znacie? Bo Szymuś chodzi w Koninie, a Agnieszka...

- W Łodzi – odparła pośpiesznie „ładna koleżanka”, w tej chwili nie marząca o niczym więcej, niż o jak najszybszym zakończeniu tej przeuroczej pogawędki. Tym bardziej, że Szymuś był na tej uprzywilejowanej pozycji, że stał tyłem do źródła światła, dzięki czemu niełatwo było dostrzec jakiegokolwiek zmiany w kolorze jego twarzy. Oczywiście zakładając, że takowe w ogóle miały miejsce.

- O, to blisko! – nie wiedzieć czemu ta informacja ucieszyła starszą panią. – A może chcielibyście się czegoś napić? Albo zjeść lody? Mam bardzo dobre, śmietankowe...

„Nie no, ludzie, weźcie ją stąd, bo zaraz tu trupem padnę!” Gdyby ją ktoś zapytał, dziewczyna w żaden sposób nie potrafiłaby wyjaśnić, jak to możliwe, że w tym samym czasie była maksymalnie poirytowana niezręcznością goniącą niezręczność, a jednocześnie tak bardzo chciało jej się śmiać, że z wielkim trudem się od tego powstrzymywała. Zresztą aż do końca myślała, że jej się uda, ale kiedy zobaczyła zakłopotaną minę chłopaka, jego rozdziawione usta – po prostu nie wytrzymała i parsknęła głośnym śmiechem.

- Przepraszam, ja... To znaczy – jasne! Czemu nie?

Pani babcia też się uśmiechnęła. Jednak starsi to mają dobrze. Szczególnie kiedy akurat nic a nic nie kumają.

- Oj, jak miło! To co? Chcecie waniliowe czy śmietankowo - pistacjowe? A może czekoladowe? Zaraz, bo mam tu jeszcze... - wydobyte z lodówki lody na patyku utworzyły już na ladzie spory kopczyk.

- Dla mnie wszystko jedno, byle w kubeczku! – zastrzegła szybko Agnieszka. Smakołyki na drewnianych albo plastikowych patyczkach były ostatnią rzeczą, jakiej w tej chwili potrzebowała. – Niech będą śmietankowe z adwokatem i czekoladą. Ślicznie dziękuję.

Babcia Szymka najwyraźniej miała dziś dobry dzień.

- To może sobie zjecie w ogródku? Taka ładna pogoda, że grzech siedzieć w czterech ścianach.

- Pewnie, ma pani rację – dziewczyna w myślach pogodziła się już z nieuchronnym bliskim spotkaniem z piejącym Casanovą i jego kolegą (albo kuzynem), którego jeszcze nie dane jej było poznać nieco bardziej detalicznie. – Jeszcze raz bardzo dziękuję i... do widzenia.

- Proszę, proszę. Do widzenia.

No i po zakupach! Swoją drogą, to chyba były najdłuższe zakupy mąki w niezbyt długim życiu Agnieszki. Aha, i oleju, oczywiście.

- Jako ładno... - aha, no jeszcze ten pan z ławeczki, obowiązkowo musiał ją komplementować, bo inaczej byłoby nieważne, prawda?

Rzecz jasna chłopak i dziewczyna szli w kierunku ławko-stołu w kompletnym milczeniu, ona przodem, on jakieś dwa bezpieczne kroki za nią. Na miejscu okazało się, że Casanova z mlecznego baru zgubił gdzieś swojego drugiego towarzysza, a także, w miarę zbliżania się Agnieszki, coraz bardziej swój głupkowaty uśmiešek. Satysfakcja może i w sumie niewielka, ale zawsze jednak coś.

- Można się przysiąść? – zapytała najbardziej zalotnie jak potrafiła.

Oczywiście, tak jak się tego należało spodziewać Casanovę zatkało na dłuższą chwilę.

- Pewnie! Jasne! – kiedy już go odetkało, wyprostował się jak uczeń przywołany do porządku przez wyjątkowo srogą nauczycielkę i gorączkowo przesunął na sam brzeżek ławki.

Kiedy już wszyscy siedzieli, Szymek najwyraźniej przypomniał sobie o obowiązkach gospodarza, które niespodziewanie spadły na niego jako na najstarszego w trzysobowym gronie.

- Aha. To jest Grzesiek, mój cioteczny brat, a to...

Dziewczyna postanowiła nie czekać na dokończenie prezentacji. Zamiast tego machnęła krótko ręką w nieokreślonym kierunku.

- Agnieszka. Cześć.

- Cześć – mruknął Grzesiek w odpowiedzi, trochę chyba nieswoim głosem.

„I co, chłopaczku, już się nie śmiejesz jak głupi do sera?” Agnieszka nie miała zamiaru bawić się w konwenanse. Nie tym razem.

- Poważnie jesteście kuzynami? – bardziej stwierdziła niż zapytała zamierzenie rozbawionym tonem, unosząc wysoko lewą brew.

- No, tak się jakoś złożyło – Szymek podał Agnieszce kubek z lodami i wręczył loda na patyku Grześkowi. – Masz. A co?

Dziewczyna zachichotała.

- A nic. Po prostu jesteście... zupełnie niepodobni.

Szymek tylko skrzywił się nieznacznie.

- Spostrzegawcza jesteś.

Agnieszka wygodnie oparła się łokciami o blat stołu.

- Prawda? – podchwyciła, zatrzepotawszy rzęsami.

Nastała chwila milczenia wykorzystana na konsumpcję deserów.

- Na długo przyjechałaś? – to znowu Szymek.

- Dwa tygodnie. Potem kolejne dwa gdzieś nad Bałtykiem...

Niespodziewanie do rozmowy włączył się Grzesiek.

- Do kogo przyjechałaś?

- Do mojej ukochanej cioci Danusi i wujka Włodka – odparła z przesadną afektacją. – Znasz?

- A którzy to? Gdzie mieszkają?

- Państwo Krawczykowie.

- A, nauczycielka... - młodzieniec jakby nagle nabrał jeszcze większego moresu. I bardzo dobrze, bo, wiadomo, mores to ważne rzecz. - To wiem, na samym końcu wsi.

Rzecz jasna nadszedł wreszcie moment, od którego rozmowa przestała się kleić. Stanowczo za mało wspólnych tematów, no i spotkanie za bardzo wymuszone. Agnieszka uznała, że naprawdę ciężko by było coś takiego rozkręcić. Była już bardzo bliska decyzji, by pożegnać niemrawe towarzystwo, ale uprzedził ją Grzesiek.

- To ja lecę – oznajmił wstając nagle, a Agnieszka nie omieszkała zauważyć ze zgrozzeniem, że cisnął papierek po zjedzonych lodach pod ławkę, na której siedział. – Matka na ziemniaki i cukier czeka. Cześć!

Po chwili wsiadł na rower leżący w wysokiej trawie, przez co do tej pory niewidoczny mocno zużyty rower i po kilkunastu sekundach już go nie było. Dziewczyna rzeczywiście należała do tych bardziej spostrzegawczych, bo nie uszło jej uwadze, że na twarzy Szymka odmalowała się wyraźna ulga.

- Coś mi się zdaje, że kuzynek ci za bardzo nie leży, co? – zauważyła dosyć prowokacyjnie.

Chłopak przewrócił oczami.

- No, delikatnie mówiąc. Wiesz, nie za bardzo mnie jara popijanie piwka w krzakach albo na przystanku PKS-u przy dźwiękach disco polo z telefonu rozkręconego na cały regulator.

W tym momencie Agnieszka przyjrzała mu się z nieco większym zainteresowaniem. W rzeczywistości ze sporo większym.

- O! A co cię jara w takim razie?

Tym razem na odpowiedź musiała poczekać nieco dłużej.

- W sumie to na tę chwilę niewiele ponad naukę. Wiesz, za niecały rok będę zdawał maturę, a wymyśliłem sobie rozszerzoną historię, matmę i angielski, dlatego...

- Wow! – dziewczyna nie wytrzymała do końca zdania Szymka. – Czyżbym miała zaszczyt rozmawiać z samobójcą?

Wbrew oczekiwaniom w głosie chłopaka nie zabrzmiała irytacja, a jeśli już pretensja, to zabarwiona silną nutą rozbawienia.

- Dlaczego zaraz samobójca? Mam zamiar startować na studia prawnicze, a że konkurencja jest spora – nie ma specjalnego wyboru: *take it or live it* – mogę albo stwarzać pozory albo, póki co, przestać się oszczędzać.

Agnieszka pokiwała głową ze szczerym uznaniem.

- Muszę przyznać, że ambicji ci nie brakuje. A zatem twoje jedyne hobby to na dzień dzisiejszy rycie wzorów i dat?

- Haha, nie no, bez przesady. Nie dajmy się zwariować. Od czasu do czasu wpadnie mi w łapy także i jakaś beletrystyka, zapodam jakąś muzę albo machnę się z kumplami do kina. A u ciebie? To znaczy, jak u ciebie z tymi rzeczami?

Gdyby Agnieszka potrafiła się komunikować ze swoją podświadomością, zapewne nie uszło by jej uwagi, że jej rozmówca nie użył sformułowania „machania się” do kina „z towarzystwem” lub, tym bardziej „z kumpelą” (okej, nie owijajmy w bawełnę „z dziewczyną”), ale właśnie „z kumplami”. Mogło to znaczyć wiele albo tak naprawdę nic. Zresztą, prawdę mówiąc Agnieszkę nieszczególnie interesowali chłopcy (cóż, w dobie choćby

tylko teoretycznego równouprawnienia dla rozmaitych odmienności należałoby dodać, że dziewczyny również nie). Gdyby ją ktoś spytał o zdanie w tej materii, powiedziałaaby, że jest jeszcze na to stanowczo za młoda, cokolwiek owo „to” miałoby oznaczać. I pewnie dlatego rozmowa ze starszym od siebie o, bądź co bądź jedną czwartą jej życia, chłopakiem na dobrą sprawę niespecjalnie ją onieśmiałała.

Zaraz, zaraz, a o jakie „rzeczy” on właściwie pytał?

- Masz na myśli naukę? Daj spokój, przecież ja dopiero zaczynam, to znaczy przed momentem skończyłam gimnazjum.

- Jasne, jasne. Chodziło mi raczej o to, czym się pasjonujesz na co dzień. To znaczy w czasie wolnym.

- Czy ja wiem? – wzruszyła ramionami. – Chyba wszystkim po trochu. W sumie to sporo czytam, a co do gatunków to najczęściej kryminały, thrillery, horrory, fantastykę... takie tam, różne. W każdym razie nic dziewczyńskiego – dodała natychmiast. Tak na wszelki wypadek.

– A poza tym... Wiadomo, muzyka też, ale - tylko się nie śmiej, w tej kwestii myślę, że powinnam się urodzić w latach sześćdziesiątych. Najpóźniej. Lubię jeździć na rowerze, na rolkach... Jak każdy chyba.

- Kino?

Zmrużyła oko i uśmiechnęła się.

- No, do kina to my tu raczej nie pójdziemy.

Tym razem, tym który co nieco spłoszył był Szymek.

- Wiem, wiem. Nie o to mi chodziło – zastrzegł szybko.

- Haha, wiem, że nie o to. Pewnie, że lubię. A gatunki – jak wyżej. Właściwie to większość poza głupkowatymi komedijkami romantycznymi. Jakaś taka dziwna jestem. A ty co najchętniej czytasz? Poza matmą i historią, *of course*.

- Ja? Hmm... No, najczęściej to chyba książki psychologiczne, thrillery też. I fantastykę, na przykład political fiction.

- O, pan polityk? – tak, to miał być sarkazm, którego jednak szybko pożałowała. Dlatego zaraz dodała, żeby go nieco złagodzić: – Nie sądzisz, że polityka to przeważnie straszne nudy?

- Nudy? Nie, dlaczego? Raczej wręcz przeciwnie – zaręczam ci, że co jak co, ale to z całą pewnością nie są nudy.

- A może Kinga coś? – podchwyciła z nadzieją, o tyle uzasadnioną, że wśród znajomych nie miała nikogo (dosłownie NIKOGO), kto by czytał lub znał choć jedną pozycję mistrza. Zresztą, bądźmy szczerzy – kto w ogóle szczególnie pasjonowałby się literaturą.

Chłopak chwilę się namyślał.

- Tak, coś tam kiedyś czytałem – odparł wreszcie z pewną niedbałością, którą jednak wychwycił jej, ten jeden konkretny, uwrażliwiony zmysł i boleśnie zakuł w serce maleńkim, ale zawsze cierniem. – Coś o wampirach, samochodzie potworze i wściekłym psie. A już wiem, był nawet taki stary film w telewizorni, „Christina”, zdaje się.

- „Christine” – poprawiła go surowo, a w wyobraźni dodając: „Bardzo dobrze. Siadaj, trzy minus”. Jednak, jak to mówią: lepszy wróbel od zwłaszcza, a darowanemu koniowi... i tak dalej. – A może coś z Lema, Dicka?

- Z Dicka... tak, jakiś zbiór opowiadań, Lema niekoniecznie. Poza tym bardzo chętnie różnego typu antyutopie, typu Vonnegut, Orwell czy Bradbury. A z takich lekkich... O, na przykład Agatę Christie czytywałem kiedyś. I Doylea.

„Z lekkich”, „dawniej” – pff, wielki dorosły się znalazł! Jednak z drugiej strony – książki mimo wszystko czyta, a to już coś. Ba! – to już wiele.

A tymczasem – jakby potrafił czytać w myślach

- Ale to i tak nieźle jak na taką młodą la... dziewczynę, że w ogóle cokolwiek czyta.

Gdyby nie to, że Agnieszka aż za dobrze znała otaczające ją realia, z pewnością by się na niego obraziła. Dlatego nie pozostało jej nic innego jak potraktować tę uwagę jako nieco szorstki komplement. Uśmiechnęła się wyrozumiale.

- No widzisz, a jednak nawet młode laski czytają od czasu do czasu.

Reasumując bilans zysków i strat, dziewczyna uznała, że jednak to było ciekawe przedpołudnie. Móc pogadać z jakąś bratnią duszą w materii literatury, nawet jeśli nie o ukochanych autorach – o, taka gratka nie zdarza się co dzień. Poza tym ten cały Szymek wyróżniał się brakiem tej wszechobecnej w świecie nastolatków maniery polegającej na nadużywaniu paru modnych akurat słówek, która na początku śmieszy, ale z czasem zaczyna doprowadzać człowieka do pasji. „Masakra” czy przeciwstawna jej „petarda” to tylko dwa z przykładów najczęściej określających stan emocjonalny rozmówcy. Zresztą, „masakra” chyba nie zawsze oznaczała to, za co się ją przyjęło uważać i mocno ostatnio zdewaluowała. Spora, było nie było, różnica wieku także zdawała się nie mieć większego znaczenia. Chłopak ani trochę się nie wywyższał, choćby próbując przed nią zaszpanować swoją wiedzę czy

życiowym doświadczeniem. No, prawie. Agnieszce nawet podobało się to, że w rozmowie nie jest zbyt wylewny, waży słowa, zamiast pleść trzy po trzy. Może momentami nawet trochę zanadto zamknięty w sobie, ale i tak lepsze to od standardowego bezustannego klepania głupot o melanżach, alko, dragach, laskach / facetach, seksie (aha, myślałby kto!) i innych podobnie wątpliwych atrakcjach, tak zwanej podejrzanej konduity. A tu proszę – jak do tej pory zero podwórkowej łaciny, tak bardzo rozpowszechnionej choćby w szkołach. „Albo – cholera wie – może to ja jestem jakaś niedzisiejsza?”

Dzwonek telefonu, a gwoździście kilka pierwszych taktów, na które składał się ostry gitarowy riff claptonowskiej „Layli” gwałtownie przywrócił ją do realiów świata codziennego.

- Sorki - Agnieszka podniosła się z ławki, żeby wyłowić aparat z tylnej kieszeni szortów.

„Kto to może być? Czyżby rodzice? Ach, no tak, ciocia Danko!”

- Hej, ciocia! Nie, absolutnie wcale nie zginęłam, bez obaw. Loda jadłam. Tak. Tak. Nie no, spoko. Okej, będę za parę minut.

No proszę, jak się umiejętnie sformułuje zdanie, to nawet nie trzeba się mijać z prawdą.

Szymek także wstał.

- To co, mówisz, że lecisz już? – zauważył, nie wiedząc czemu z ciut kwaśnym uśmiechem.

- Tak. Wiesz, obiecałam ciotce, że zrobię zakupy więc...

Na dłuższy moment w ciepłym powietrzu zawisła dość niezręczna cisza. Nareszcie Szymek uznał, że teraz jego kolej.

- Jasne, jasne. Pewnie czeka na ciebie.

- No właśnie – Agnieszka do tej pory nie potrafiła zrozumieć do końca, dlaczego pożegnania zwykle bywają niezręczne. – No to... trzymaj się. Miłych wakacji i w ogóle.

- Wzajemnie. Tobie też miłych.

- Dzięki. A, i jeszcze raz podziękuj babci za lody. Bardzo sympatyczną masz tę babcię.

- No fakt, spoko jest.

- Okej. No to pa – Agnieszka uznała, że tak czy inaczej ktoś w końcu musi odejść pierwszy, więc złapała ze stołu siatkę z dwoma kilogramami mąki oraz jednym litrem oleju i sprężysto okręciła się wokół własnej osi.

Zanim usiadła na siodelku ciocinego roweru, pokiwała jeszcze palcami Szymkowi, który odwzajemnił jej gest uniesioną ręką.

* * *

Droga powrotna okazała się jakby nieco krótsza, czy to z racji niesfornych myśli zaprzatających obecnie głowę Agnieszki, czy też dlatego, że po prostu nie aż tak wnikliwie kontemplowała krajobraz sielskich pól, łąk i całej reszty rodzimej przyrody. Albo jedno i drugie. Ach tam, zresztą nieważne! Owszem, nowe znajomości z reguły bywają przyjemne, ale takie wakacyjne... po prostu chyba nie mają większego sensu. No bo co z tego, że jednego dnia kogoś poznajesz i zdarza się, że ten ktoś jest całkiem fajny... Inaczej, okazuje się, że nie jest nie fajny, a potem – być może nawet zdarzy się tak, że przypadkiem spotkasz go (lub ją, bo niby dlaczego nie „ją”?) ponownie, raz, dwa czy nawet więcej razy, ale w końcu i tak wakacje przechodzą do historii, a wtedy: adios muchahchos! Więc jaki jest sens poznawać nowych ludzi, których z dużą dozą prawdopodobieństwa, a raczej niemal na pewno, nigdy więcej ponownie nie zobaczysz? Z drugiej strony, jaki sens jest to w ogóle analizować? „Jest jak jest, równie dobrze mogłam po prostu kupić to, co miałam kupić, a potem po prostu wsiąść na rower i wrócić do ciotki. Ale swoją drogą trochę szkoda, że tak rzadko trafiają się ogarnięci ludzie. Dlaczego świat nie mógłby, tak dla odmiany, zacząć cierpieć na deficyt dupków?”

Niecałe dziesięć minut później Agnieszka odstawiała różowego pogromcę dróg ciotki na swoje miejsce pod wiatą i witała się z Ciapkciem, który ucieszył się na jej widok jakby nie widzieli się co najmniej dwa dni i w ramach serdecznego przyjęcia przytasczył jej pod nogi starą oponę samochodową. Dziewczyna poklepała go po głowie, ale nie skorzystała z zaproszenia do zabawy w tarmoszenie ciężkiego, gumowego kapcia.

- Ciocia, jestem już! – oznajmiła już od werandy zrzucając z nóg adidas, po czym pobiegła od razu do kuchni.

- Huh! Ciocia, jestem!

- No widzę, widzę. Powoli, córciu. O, dziękuję ci, moja droga – ciocia Danką przejęła od ciotecznej siostrzenicy brzemień siatki ze sprawunkami i resztę pieniędzy.

- Ale te lody to chyba jakieś w wyjątkowo atrakcyjnej promocji były, co?

Ręka Agnieszki wyposażona w dzbanek z kompotem czereśniowym zamarła w tym momencie nad szklanką.

- Ekhem. Słucham?

- Mówię, tylko, że przyniosłaś mi resztę z mąki i oleju, ale ani grosza mniej. Powiedziałam ci przecież, Jaguniu, żebyś sobie coś kupiła. Nie musiałaś wydawać swoich pieniędzy.

Agnieszka nalała sobie kompotu i machnęła ręką.

- Ciocia, a może ci w czymś pomóc, tak poza tym? Może w obiedzie na przykład, hę?

Mistrzyni zmiany tematu dowiedziała się jednak szybko, że pomoc, jakkolwiek mocno doceniana, nie będzie potrzebna wcale a wcale, bo wszystko już podszykowane, tylko ziemniaki obrać i udziec z indyka w brytfance do piekarnika wsadzić, a surówka z tartej marchewki i świeżego chrzanu to raptem pięć minut roboty, „tak że idź sobie, córcia odpocznij, telewizję pooglądaj albo co tam w ogóle chcesz”.

No dobra, nie ma sensu się napraszać tam, gdzie cię nie chcą, nie? A już szczególnie kiedy dotyczy to geniuszy kulinarnych. W związku z powyższą konstatacją Agnieszka postanowiła wrócić do swojego pokoju i oddać się swojemu ulubionemu zajęciu, to znaczy lekturze. Wiadomo, kiedy się zacznie szkoła, pojawią się nowe obowiązki, Bóg raczy wiedzieć, w jakiej ilości, a zatem lepiej wykorzystać ten darowany czas letniej laby niż potem żałować, że się tego nie robiło. W ramach przygotowań do szykującej się uczty dla umysłu i duszy zorganizowała sobie u cioci cappuccino z dodatkowym spienionym mlekiem i trzy rogaliki w konfiturą śliwkową (wszystko ciocinej roboty). To tak w ramach troski o linię... „Dobra, nie popadajmy w paranoję.” Taca z owymi delicjami wylądowała na szafce tuż obok łóżka, czyli w zasięgu ręki, a Agnieszka na nim samym w jednej ze swych ulubionych pozycji do czytania, to znaczy na brzuchu, głową podpartą łokciami i stopami wycelowanymi w sufit.

Od paru tygodni na tapecie nieprzerwanie prym wiodła genialna Brytyjka, Agatha (tak na marginesie: czyż Agata nie posiada tych samych zdrobnień, co Agnieszka?) Tym razem Agnieszka z wypiekami na twarzy, wraz z przeuroczym, małym Belgiem rozwiązywała ponurą tajemnicę morderstwa popełnionego na nauczycielce gimnastyki w szanowanej, angielskiej szkole dla dziewcząt. Za sobą miała już ponad połowę powieści i przynajmniej kilka mocnych typów na zabójcę (w tym jeden nieomal pewniak), jednak nauczona doświadczeniem, że meandry ścieżek, którymi podążały ponadprzeciętnej jakości małe szare komórki nad wyraz przenikliwego detektywa rzadko kiedy bywają możliwe do przewidzenia, a złota zasada znakomitej większości kryminałów mówiąca, że winny najczęściej jest ten, którego na początku najmniej się podejrzewa niekoniecznie odnajdywała tutaj zastosowanie.

Chociaż do tej pory nikomu się do tego nie przyznała, dziewczyna w skrytości ducha marzyła o karierze detektywa. To znaczy oczywiście zdawała sobie sprawę, że w drugiej dekadzie XXI wieku samotne indywidualności, takie jak Herkules Poirot, Sherlock Holmes, Jules Maigret czy mniej znany C. Auguste Dupin dawno temu odeszły do lamusa historii badań śledczych i że te prowadzoną są dziś przez profesjonalne, doskonale wyposażone zespoły dochodzeniowe (tu podziękowania dla twórców C.S.I.), ale w wielu aspektach romantyczna natura Agnieszki nie miała by nic przeciwko nawet takiej, ultranowoczesnej formie tego zawodu jak we wspomnianym serialu. Jedyne, czego się obawiała, to tego, że ewentualną ciemną stroną wymarzonej profesji pani kryminolog mógłby się okazać jej brak odporności psychicznej na widok wszelkiej maści okropieństw, które śledczy bardzo często okrywali na miejscu zbrodni. Weźmy na przykład takiego topielca, którego ciało przebywało pod wodą nieraz całymi miesiącami, albo dajmy na to ofiarę, której szczątki próbowano spalić, by zatrzeć ślady i w ten sposób zmylić organa ścigania. Do tego dochodził cały asortyment ran, a wśród nich: klute, cięte, szarpane oraz wszelkie możliwe kombinacje tychże; czasami ciała rozczłonkowane, innym razem zdekapitowane... Brr! Po prostu... Tak, tu akurat „masakra” było zdecydowanie nienadużyтым określeniem. Oczywiście dziewczyna zdawała sobie sprawę, że czym innym są prezentowane na ekranie wysokiej jakości efekty w wysokiej rozdzielczości, a zupełnie czym innym realia wspomóżone dodatkowymi bodźcami, wśród których zapach odgrywał zapewne niebagatelną rolę. Weźmy na przykład taką agentkę Starling, która przez długi czas była dla Agnieszki guru, by nie rzec postacią ikoniczną wśród całkiem liczego korowodu bohaterów książkowej i filmowej makabry. Tych pozytywnych, rzecz jasna. Mała Agusia zaliczyła „Milczenie owiec” stosunkowo wcześnie, bo pod koniec szóstej klasy, oczywiście w absolutnej tajemnicy przed rodzicami, którzy, na szczęście dla niej, sporo po niewczasie zorientowali się, co między innymi pasjonuje ich jedynaczkę, gdy akurat nie ma ich w domu, ale z kolei na nieszczęście zaraz potem dość szybko rozkminili funkcję blokowania wybranych kanałów na pilocie. No, ale wtedy, jeszcze jako dumna 12-lątka przez kilka miesięcy nie wyobrażała sobie siebie przed snem jako kogokolwiek innego, jak tylko dzielną policjantkę, ratującą z opresji przerażone niedoszłe ofiary wszelkiego autoramentu zbrodni i zwyrodnialców – najczęściej młode kobiety i dzieci, tak do dziesiątego roku życia. A wszystko to naturalnie tylko dzięki bystrości swojego intelektu i uporowi, zdolnemu pokonać wszelkie przeciwności losu i kłody rzucane pod nogi, również przez niesprawiedliwych przełożonych i tępych lub skorumpowanych

współpracowników. Lub i jedno i drugie. Traf chciał, że ocalenie w osobie pani inspektor Agnieszki Gajewskiej najczęściej pojawiało się dosłownie w ostatniej chwili – zapewne po to, by tym bardziej podkreślić dramatyzm zagrożenia. I wdzięczność uratowanych, rzecz jasna. Nawet koszt w postaci co najmniej kilku nocnych koszmarów był wart ogromnej satysfakcji z tytułu dobrze wykonanej, policyjnej roboty. Bo przecież nie o jakiś splendor czy zaszczyty w tym wszystkim szło, szczególnie kiedy w grę wchodziło ludzkie życie i zdrowie. Ha, nawet potencjalnie rozliczne niebezpieczeństwa czyhające na młodziutką panią detektyw nie były w stanie odwieść jej od wszystkiego tego, co w swym szlachetnym, młodym sercu uznawała za swój święty obowiązek wobec współobywateli.